

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

poczynają wypukiwać esemesy. Małżeństwo znajduje się w stanie zblazowanego milczenia, dzięki czemu ogłuszający spokój trwa do końca podróży, ja zaś, obserwując ludzi zajętych wyłącznie sobą i ani trochę nie zainteresowanych tym, co za szybą, nie mogę wyjść ze zdumienia: tatko ślizga się wzrokiem po tabeli z wynikami futbolowych rozgrywek, mamcia tkwi z nosem wetkniętym w piśmidelko, cherubinki oddają się wirtualnym czynnościom, a nikt z nich nie spojrzy w zaokienny krajobraz, nie zapyta, co się za nim przesuwają, gdzie znika, jakie miasto widnieje na horyzoncie, jaka jest nazwa mijanego jeziora czy góry. Żadnego zainteresowania światem wystającym spoza gazety lub komórki, żadnej rozmowy, choćby kłótni świadczącej o namiastkowym istnieniu uczuciowych więzi; niby jadą razem, a przemieszczają się osobno.

Obecna hodowla człowieka nazywa się wychowaniem bezstresowym.

Moim zdaniem powinna się nazywać wychowaniem dla świętego spokoju. Wychowaniem bez barier, czyli – bez wspólnej rozmowy z dzieckiem i ustalania granic, czego mu nie wolno, a co musi. Winna nosić miano wychowywania luzackiego, gdyż nie wzbrania niczego, a pozwala na wszystko. Stosowana jest dla naszej leniwej wygody: w imię osiągnięcia egoistycznego komfortu. Wypełniona jest arbitralnymi postanowieniami.

Odnacza się brakiem wspólnych kryteriów i jednoznacznych określeń prawideł gry. Albowiem wychowanie, kształtowanie charakterów, to gra. Nie w to, kto kogo pokona, lecz w to, czy uczeń przewyższy mistrza. Gdyż nie jesteśmy dla nich starszymi przewodnikami po życiu, ale kolesiami z piaskownicy; prawdziwe partnerstwo nie sprowadza się do potakiwania, do bezkrytycznej zgody na dziecięcą wizję świata, lecz do tłumaczenia, wyjaśniania, interpretowania, akcentowania złożoności życia. A także – uczenia szacunku, akceptacji i tolerancji dla światopoglądowej odmienności.

Tyle teoria. W praktyce, jesteśmy dla nich, albo dostawcami frajdy, albo – nie znoszącymi sprzeciwu nauczycielami strachu, hipokryzji i alienacji, bo przyszło nam się zająć zimnym wychowem swoich, lub cudzych dzieci, przekazywaniem nauki o samotnym przebywaniu w nierzeczywistości. Zadowolamy się życiem osobnym. Trwaniem ksobnym. Wzajemnym schodzeniem sobie z drogi. Ojciec ma swoje kłopoty, córka, lub syn – też.

„Stary” ma na zgryzoty – gazetę, piwo i worek treningowy w postaci oblubienicy,

synek, czy córka siedzą w komputerowych grach. Siedzą i milczą. Nie ma między nimi więzi, sympatii, jakiegokolwiek zrozumienia. Jest za to nasilająca się obojętność, agresja i rodzące się w nich pytanie: dlaczego mam kumpli, a nie mam przyjaciół?

Jak nasi rodzice, zauroczeni bezstresowym wychowywaniem, jak pocziwa zgraja naszych „wychowawców”, która uwzięła się być naszymi kumplami spod śmietnika, tak i my robimy ze swoimi pociechami to samo; pozwalamy na każdy kaprys, a postępujemy tak mówiąc sobie: niech ma lepiej, niż ja, bo inaczej wyrośnie na mazgaja lub histerycznego przygłupa. Słowem, zaszczepiamy w nich nasze obawy i lęki przed światem: czym stałby się, gdybyśmy zaczęli wymagać przestrzegania wspólnych obowiązków i egzekwowania międzyludzkich norm?

Jaki jest sens zastanawiania się nad obecną, pedagogiczną mizერიą? Szukania powodów zła? Sens jest ogromny, jednak problem polega na tym, że nasi oświatowi władcy żadnego zła, żadnej mizერიi, w obecnym wychowaniu – nie widzą. Nie dostrzegają przymusu dokonania zmian. Zmian, czyli powrotu do niegdysiejszej normalności.

Przyczyn obecnego stanu należy poszukiwać w nas. To znaczy – w szkole, w rodzinach, w domu rodzinnym, w brakujących więziach międzypokoleniowych rodzin. To my jesteśmy odpowiedzialni za młodzież. Za jej etyczny obraz. To my nie kształcimy w niej zasad tolerancji wobec bliźniego, miłości do ludzi, nie dbamy o uczenie jej współżycia z resztą społeczeństwa, wrażliwości, zrozumienia i szacunku dla innych, optymizmu i zaufania, otwartości i alergii na piękno. To my fabrykujemy buble, odpady i duchowe cyborgi zaszczepiając w nich sceptycyzm i fobie.

Nauczyciel, ojciec, matka, pokolenie dziadków odesłanych do graciarni z andronami, są dla naszych dzieci nieżyłymi kpmi, a ich świat składa się z zagrożeń, wzajemnej nienawiści, podejrzliwości, agresji, jest więc traktowany jako wrogie otoczenie.

Otoczenie, od którego TRZEBA się izolować, przed którym należy się bronić.

W myśl powiedzenia, że po nas choćby potop, wszystkim wszystko zwisa; dzisiejszy nauczyciel nie zajmuje się uczniami, bo uczeń to tylko dodatek do pensji, a rodzice nie zaprzatają sobie głowy problemami syna, czy córki; szkoła zwala winę na dom, dom na szkołę, a bezpieczni lecz udomowiony dzieciak lata po ulicy i szuka frajera do glanowania.

PS.

Rodzice przebywają z dala od opiekuńczych elementarzy, nauczyciele odpuszczają sobie działania stricte wychowawcze i robią to z lęku przed wiaderkiem na glacy; tak jednym, jak drugim przydałoby się prawo jazdy

do bycia ojcem, matką, dydaktykiem kształtującym od podstaw dziecięcy charakter.

Można przerzucać się odpowiedzialnością, grać w dyskusyjnego tenisa lub dwa ognie, uprawiać sofistyczne gadki na temat tego, kto ponosi winę! Ten ping-pong trwa sobie od czasu, gdy ktoś wymyślił Kodeks Praw Ucznia (to kodeks praw bez kodeksu wymagań: uczeń jest królem, a nauczyciel jego lokajem. O czym to świadczy? Ano o tym, że uczeń to niekwestionowany Pan Szkoły, Jaśnie Nieoświecony Dyktator mający w niej więcej do powiedzenia niż nauczyciel z autorytetem na gumkę od majtek.

Oczywiście zdarzają się wyjątki po obu stronach. Ale jak sama nazwa mówi, są to wyjątki).

Kisiel: jedyny taki weredyk

Pisać o pisarzu, to syzyfowe zadanie. Z reguły niewdzięczne, bo – stronnicze. Tym bardziej o nim. O człowieku, który przez długie okresy życia był odsunięty od publikowania swoich utworów literackich i kompozycji muzycznych, nad którym ciążyła kłątwa wzmoczonej cenzury. Truizmem jest powiedzenie, że co pisarz, to osobowość; niekiedy silna, niekiedy nie. Są niezłomni, dysponujący odwagą cywilną, mający ugruntowane zapatrywania i są ugodowcy, zamulacze, wsteczniacy posiadający paskudne przekonania, poglądy uzależnione od wiaterek historii. Stefan Kisielewski należał do nieugiętych i płacił za to wysoką cenę.

Jakiś czas temu radiowa Dwójka zaprezentowała jedną z jego pięciu powieści (Widziane z góry). Nadano ją w wymienitej interpretacji Jerzego Stuhra. Podzielona na 49 odcinków, stanowiła ucztę dla znękanego uszu. Jednak słuchając jej, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że została stworzona w innym rytmie niż dzienniki, w odcieniach nie tak nerwowych i radykalnych, a bardziej kontemplacyjnych. Autor zdawał sobie sprawę: powieścią nie rządzi pośpiech.

Co innego dziennik, emocjonalny, skrótowy zapis faktów i spostrzeżeń sporządzonych pod presją chwili, na gorąco, podczas codziennego użerania się z partyjnymi matolami, w trakcie przymusowych randek z cenzurą, a co innego powieść, gdzie można pozwolić sobie na szerszy oddech, głębsze zastanowienie, opisowy malunek pejzażu, psychologiczny portret, rozbudowę atmosfery; publicystyka, to streszczenie, a romans, to rozwinięcie.

Ale woli uprawiać publicystykę. W niej, a zwłaszcza w politycznych felietonach dopatrzuje się dobrych stron swojego pisania.

cdn.

Marek Jastrząb